WICI WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV POZNAŃ LISTOPAD 1934 NR. 11 (38)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI Redaktor: MARJAN TURWID

A. SZYPERSKI:

ZAMEK RYDZYŃSKI WCZORAJ I DZIŚ

Ziemia Leszczyńska może być bez przesady nazwana perłą ziem wielkopolskich. Rzućmy okiem na jej krajobraz. Wstęgi lasów, rybne jeziora, doliny, łąki, wzgórza i jary, tu zbocza leśne i romantyczne wąwozy, tam równe, dobrze uprawione, prawdziwie wielkopolskie pola. Gleba urodzajna, ludność zamożna. Szczególnie pociągają malownicze okolice Górzna, wspaniały las kąkolewski, jeziorne Grotniki, piękne Włoszakowice, co wykołysały Karola Kurpińskiego, naszego największego muzyka przed Moniuszką. A jezioro Krzyckie, zaciszne letnisko podmiejskie, jego plaża, łazienki, skocznia, łódki. Dalej gładkie przestrzenie wód Boszkowa z iście podhalańską panoramą lasów, letnisko coraz piękniejsze i modniejsze. Urocza Osoczna powinna się stać pierwszorzęd em uzdrowiskiem, bo i klimatyczne warunki powiatu leszczyńskiego, jak pisze biograf tej ziemi, dr. Świderski „są nader korzystne, czego dowodem rzadkość epidemji i w ogólności *nikła* ilość chorób w powiecie".

Ziemia Leszczyńska to ziemia jezior, lasów i urodzajnych niw. Jej artystyczna rzeźba była krynicą natchnień dla mistrzów słowa, tonów i ludzi nauki. Żyzne gleby oddawna przynęcały osadników, obronne z natury tereny ściągały rycerzy i rodziny magnackie. Toteż dźwigała ta ziemia potężne kiedyś zamki, chętnie tu osiadali zakonnicy.

Mowa ludu leszczyńskiego tchnie powagą starości. Pełno w niej archaizmów, co żyły kiedyś może i pod grodem poznańskim, ale prawem fal językowych zostały wyparte na same rubieże naszej ziemicy i tworzą tu straż graniczną, jakoby czujni rycerze Piastów i Jagiellonów.



Józef Oźmin *Zdjęcie z krzyża (ol.)*

Jak ubóstwo krajobrazowe Wielkopolski wschodniej skurczyło zasoby fantazji tamecznego ludu, tak Wielkopolska południowa ma oblicze o wiele więcej poetyckie. Także strój ludowy znalazł najwdzięczniejszy przytułek właśnie na tej i sąsiedniej ziemi. Biskupizna gostyńska i Pawłowice leszczyńskie oraz nadobrzański Przemęt to trzy rezerwoary oryginalnego folkloru. — Dzikie zapadliska, jary i parowy zrodziły tu bujne podania ludowe: O nadludzkiej sile rycerza Wieniawy, co ogromnego żubra powalił na ziemię i za to w herbie głowę tego zwierza otrzymał. Stąd herb miasta, legendarnej Leszczyny, osady leśnej.—W srebrnej fali jeziora Górzeńskiego przeglądało się niegdyś zamczysko, miejsce wypadów rozbójniczych awanturniczego Maćka Borkowica, pana na Koźminie. Postać ta pociągała naszych malarzy i prozaików. — Ponad dziwy podań i wierzeń leszczyńskich wyrasta tajemnicza ballada o białej damie w zamku rydzyńskim. Cóż to za dama? Piękna niewiasta, zamurowana w ponurych podziemiach za otrucie kochanka. Pokutnica, niepokojąca w ciemnych krużgankach mieszkańców zamczyska. — Inne jeszcze podania osnuła fantazja ludowa dokoła zamku rydzyńskiego.

Rydzyna i jej zamek to obok zabytków w Osiecznie najciekawsze osobliwości Ziemi Leszczyńskiej. Miasteczko, prawie całkowicie opasane sznurami lasów, jakby ocalało przed zakusami nowoczesnego architekta. Gdy się dojedzie wąską uliczką do rynku, duszę ogarnie jakiś urok niezwykłości. Patrzymy nie na równy czworobok zimnych domów, ale mamy przed sobą jakby wycinek z życia króla Sobka czy z czasów saskich. Domki, mimo że zgrzybiałe wiekiem są utrzymane schludnie

i dobrze. Szczyty ich patrzą starym obyczajem budowlanym na rynek podobnie jak nieliczne już, leciwe domki senatorskie w Środzie. Mały ciałem, ale wielki tradycją ratusz stoi sobie latek 180 i jeszcze nie zgarbił się od starości. Pamięta beztroskie, swawolne czasy saskie.

Miasto posiadali najpierw Rydzyńscy, przybysze z rodu czeskiego, później Ciświccy i Leszczyńscy. W roku 1736 nabył Rydzynę Aleksander Sułkowski. Syn jego, August, utworzył z rozległych dóbr ordynację, której statut z roku 1783 przeznaczył dobra — wrazie wygaśnięcia rodziny — na cele wychowawcze. Ostatni ordynat, ks. Antoni Sułkowski zmarł parę lat przed wojną świat., w Monachjum i odtąd przeszła Rydzyna w ręce pruskie. Dopiero w kilka lat po wojnie polskie ministerstwo oświaty przejęło zamek i dobra jako fundację Sułkowskich. W skład jej weszły wsie i lasy należące do byłej Ordynacji. Obowiązujący od roku 1926 statut pozwolił na renowację zamku i przystosowanie go do roli wzorowego zakładu naukowego. — Mała Rydzyna posiadała już poważniejszą tradycję szkolną. Wspomniany August Sułkowski sprowadził do tej miejscowości po pierwszym rozbiorze Polski pijarów z Warszawy. Kollegjum ich miało w kilka lat po rozpoczęciu pracy nauczycielskiej siedmiu profesorów i około 100 uczniów. Osobno wspomnieć należy o konwikcie szlacheckim w Rydzynie, który tworzył rodzaj szkoły rycerskiej. Kształcili się w niej znani Wielkopolanie jak np. zasłużony rolnik i generał Dezydery Chłapowski z kościańskiej Turwi. Nawiasem zaznaczmy, że szkolnictwo zakonne odgrywało znaczną rolę w Wielkopolsce na początku wieku XIX. Wybitny np. historyk Łukaszewicz pobierał nauki w szkole franciszkańskiej w Pyzdrach.

Szlachecki duch dawnej szkoły rycerskiej objawił się w nowoczesnej demokratycznej formie w dzisiejszem gimnazjum rydzyńskiem. Mieści się ono w trzypiętrowym zamku, tworzącym potężny rozmiarami czworobok. Najpiękniejszy pałac rokokowy w Wielkopolsce, stanowi główną ozdobę miasteczka. Naprzeciw głównego wejścia rozciągają się półkolem stylowe oficyny pałacu, w sąsiedztwie wznosi się kościół katolicki, dawna kaplica pałacowa, również w stylu rokoko. Dodajmy, że za wielkim ołtarzem przechowała się bardzo stara płaskorzeźba, zapewne z pierwszych lat posiadania miasta przez Rydzyńskich. — Zamek istniał w Rydzynie już w wiekach średnich. Nowy wystawili Leszczyńscy, a odbudowali w pierwszej połowie XVIII stulecia, po zniszczeniu dawnego przez wojsko rosyjskie, Sułkowscy. Opatrzyli go rowem i bramami. Obszerne sale były ozdobione pięknemi sztukaterjami i malowidłami, zniszczonemi w roku 1919 przez stojący tu grencszuc. Kunsztownie rzeźbione sufity świadczą do dziś o bogactwie artystycznem dawnej siedziby Sułkowskich. Chlubi się ona jeszcze sławnym kiedyś teatrem dworskim, który, podobnie jak teatr pałacowy warszawski, mieścił się w jednej z większych sal gmachu. Żywe były stosunki wymienne aktorów między sceną królewską w Warszawie a teatrem rydzyńskim. Nietylko więc znane siedziby magnackie we wschodniej części Polski gościły u siebie aktorów w trosce o rozrywkę i kult żywego słowa, albo przynajmniej w celu dorównania ambicjom teatralnym Zachodu, ale także Wielkopolska. — Po wojnie Kuratorjum Fundacji Sułowskich odrestaurowało, jak już wspomniałem, gruntownie zamek rydzyński i za zgodą ministerstwa oświaty otwarło w nim sześć lat temu zakład wychowawczy pod nazwą „Gimnazjum im. Sułkowskich w Rydzynie". Mimo że przystosowano gmacb do potrzeb nowoczesnej szkoły, nie stracił on swej wartości zabytkowej a mimo czterech baszt narożnych i grubych murów, nie jest ciężki i ponury. Przeciwnie, pełne światła i słońca sale nastrajają radośnie, zachęcają do nauki; gustownie urządzone pokoje i przestrzenie korytarzowe kształcą zmysł estetyczny wychowanków. Niewyczerpanym zbiornikiem tlenu dla młodych płuc jest duży, stary park zamkowy, sąsiednie ogrody, łąki i lasy. — Cały teren zamkowy to jakby małe miasteczko, z okazałą bramą wjazdową, którą zdobią dwa na cokołach spoczywające sfinksy. Długie skrzydła dawniejszych oficyn pałacowych służą już częściowo za mieszkania profesorskie, a dawna masztalarnia czy ujeżdżalnia stała się terenem przeróżnych wyczynów sportowych i zajęć praktycznych młodzieży.

Odnawiając zamek — pisze prospekt gimnazjalny — wyposażyło go Kuratorjum Fundacji we wszelkie nowożytne instalacje: własną elektrownię, własną małą gazownię, własny wodociąg, wzorową kanalizację i centralne ogrzewanie. Zamek mieści w sobie wszelkie pomieszczenia, przeznaczone dla uczniów, a więc sypialnie, umywalnie, łazienki i pokoje do pracy, salę rekreacyjną, czytelnię, salę gimnastyczną i różne pracownie. (Te pracownie, zaopatrzone w obszerne pomieszczenie i dobrze wyposażone we wszelkie potrzebne instalacje oraz pomoce naukowe, stanowią ważny rys charakterystyczny Zakładu).

Stworzono dziś z zamku rydzyńskiego szkołę — dom, uczelnię, gdzie ma być dużo ciepła rodzinnego, szkołę charakterów i serca. Tryb życia w szkole rydzyńskiej jest oryginalny i ciekawy, ale charakteryzując go wybiegliśmy poza ramy zakreślonego tematu. Dodajmy tylko, że teren zamkowy tworzy jakby zaciszne letnisko a jednocześnie ruchliwy obóz pracy. Stara siedziba Sułkowskich dobrze dziś służy narodowi i państwu.

(Wyraźmy ż yczenie, by Szkoła Rydzyńska, wychowując człowieka pełnego i obywatela — Polaka, pamiętała również o człowieku regjonu, którego poznanie ułatwia podejście do duszy obywatela kraju. Dawna szkoła rycerstwa wielkopolskiego niechaj będzie szkołą elity umysłowej spod strzechy i pałaców i niechaj stanie na głównej straży utrzymania i pomnażania dorobku kulturalnego regjonu leszczyńskiego).

Wspomnieliśmy na początku, że Wielkopolska południowa obfituje w liczne i piękne kościoły, klasztory, przechowuje najlepiej obyczaj i język ludowy, ma cenne zabytki sztuki — dodajemy teraz, że posiada jeszcze dwie najciekawsze, nietylko z urządzenia, szkoły średnie: Gimnazjum Sułkowskich w Rydzynie i Gimnazjum Ziemi Gostyńskiej w sąsiednim Gostyniu.

STANISŁAW HELSZTYŃSKI:

KŁOPOTY POMATURALNE PRZYBYSZEWSKIEGO

Dnia 22 lutego 1889 roku zdobył syn nauczyciela łojewskiego świadectwo dojrzałości w gimnazjum wągrowieckiem. Należało czemprędzej myśleć o wyższej uczelni, żeby nie tracić semestru letniego. Do Gryfji, gdzie studjował Józef Górski, kolega, późniejszy długoletni lekarz w Gostyniu, ani do innych prowincjonalnych Uniwersytetów Przybyszewski jechać nie chciał. Nęciła go metropolja, Berlin. Był tam już starszy kolega, Tomasz Pajzderski (1864—1910), późn. znany architekt. Do niego zwrócił się świeżo upieczony kandydat nauk uniwersyteckich. Szedł list za listem do doświadczonego przewodnika i z chaosu, który

panował w głowie Przybyszewskiego co do wyboru zawodu, środków, uczelni, zaczyna wyłaniać się wyraźny cel: architektura. Pomysł ten podsunął mu Tomasz, sam student architektury Wybór ten rozwiązywał i drugą trudność. Tow. Pomocy Naukowej im. K. Marcinkowskiego przestało właśnie w tym momencie subsydjować studentów medycyny i aptekarstwa, wychodząc z założenia, że w tym zawodzie dość już jest w Poznańskiem Polaków. Student architektury mógł liczyć na stypendjum.

Istotnie w aktach Towarzystwa widnieje pod nazwiskiem S. Przybyszewskiego na rok 1889 suma 395 zł. Już uprzednio otrzymywał on zapomogę: w r. 1885 — 45 Mk, w 1886 — 180, w 1887 — 180, w 1888 — 180. W roku 1890 otrzymał jeszcze 100 Mk, porzucając jednak w tym czasie architekturę przestał być stypendystą.

W listach kwestja stypendjum wygląda mętnie. List pierwszy mówi o przymusowych 400 Mk, następne przedstawiają początkowe fazy starań o te 400 Mk. Wzmianka pierwsza jest bez wątpienia bluffem. Listy same są niezwykle ciekawe: onieśmielony eks-prymaner odnosi się do kolegi z niezwykłą rewerencją, są per pan. Z czasem przechodzi autor do większej pewności siebie, do wynurzeń malowania stosunków materjalnych ojca, do refleksji natury ogólnej. Jakże inaczej brzmieć będą jego listy do Tomasza i jego siostry po pierwszym semestrze berlińskim, po wizycie w Łęgu pod Sremem u ojca Tomasza i po uzyskaniu oficjalnej marki studenta architektury. (Patrz: Boy-Zeleński w Wiad. Literackich nr. 543).

Uprzejmości p. Boya-Zeleńskiego zawdzięczam też możność opublikowania poniższych listów, ukazujących się po raz pierwszy w druku.

Warszawa, czerwiec 1934.

Boy $21^{1}/_{2} \times 14^{1}/_{4}$, 1—3 str.

Łojewo Inowrocław, 14 marca 1889. *)

Drogi Panie!

Nie widząc powodu, dla czegoś Pan na ostatni mój list nie raczył odpisać, a przytem powodowany obawą, czy list czasem nie zginął, pozwalam sobie jeszcze raz Pana trudzić. Uzyskałem wreszcie po długich i mozolnych prośbach stypendjum 400 marek rocznie, więc będę się mógł na uniwersytet udać. A Pan będziesz tak łaskaw kilka wskazówek mi udzielić, o które w przeszłym liście prosiłem, t.j., kiedy się mam udać na uniwersytet, czyby nie było możliwem wspólnie podróż do Berlina odbyć i jak się na początek urządzić. Wszak mi Pan tego za złe nie weźmie, — Pan tak dobry, a ja bym sobie w Berlinie w początku rady nie dał, — takiego fuchsa z prowincji toby w tej chwili poznano i niegodziwie obrzynano.

*) matura 28. II. 89.

Aleksander Janta-Połczyński:

TOWARZYSZE MOJEJ PODRÓŻY

Na dalekich szlakach pociągów,
przyczepieni do nich włóczędzy,
na schodach, na dachach wagonów
podróżują poprostu z nędzy.

Nim się pociąg zatrzyma — — skok.
Przyczajona uwaga wszystka:
Szybko kucnąć za węgieł, za płot.
Tam czekają trzeciego gwizdka.

Albo idą ku oknom wagonów,
choć konduktor ich zaraz przegoni
i proszą — głodni — o chleb
naprężonem wyciągnięciem dłoni.

Brudni, smutni obdarci chłopcy,
żebrzą z pokorą psów,
bełkocą, patrząc z podełba,
nie umieją najprostszych słów.

Zaczepieni ręką o poręcze,
stojąc nocą na osiach buforów,
wsłuchują się tak samo, jak ja
w rytm i melodję torów.

I — tak samo jak ja, dobrze wiedzą,
jak ogromnie taka droga nuży,
i jak ciągnie, porywa i woła — — —
towarzysze mojej podróży.

W następnym zeszycie „Wici Wielkopolskich" omówi dr. Jan Piechocki w obszernym artykule twórczość A. Janta-Połczyńskiego, utalentowanego poety i znanego podróżnika wielkopolskiego. (Red.)

Oczekując łaskawej odpowiedzi, ściskam Pana serdecznie i pozostaję

z szczerą wdzięcznością

Stanisław Przybyszewski.

Boy $21^{1}/_{4} \times 14$, 1—4 str.

Łojewo, 21 marca 1889.

Łaskawy Panie!

Serdecznie powinszowanie Pańskie mnie ucieszyło — tej chwili byłbym na list Pański odpowiedział, ale adres był tak nieczytelny, że nie mogłem z niego korzystać, musiałem poczekać aż będziesz w domu. — Abiturjencki egzamin złożyłem i nie wiem co dalej począć, to tylko wiem z jak najdokładniejszą pewnością, że nigdy na teologję się nie zdecyduję — na medycynę pomocy naukowej według najświeższego ogłoszenia nie dostanę — na filologję również nie — do zawodów w które matematyka, fizyka lub chemia wchodzi nie mam najmniejszych zdolności, ale mógłbym na nie dostać nawet wysokie stypendjum. Hic Rhodus — hic salta, to się można porządnie poskrobać na taką głupią alternatywę. Możebyś mi Pan zechciał łaskawie co poradzić, Pan to wszystko dobrze znasz, toby i o radę nie było trudno, a ja byłbym Panu bardzo zobowiązany. Tymczasem siedzę w domu myślę i dumam nad tym wielkim alchemicznym problemem robienia złota — pewno mi też w tem lepiej nie pójdzie, jak średnowiecznym mistykom. Mniejsza o to, gdybym się tylko dostał do Berlina, możebym może jako grunt pod nogi dostał — tymczasem zacna moja osoba w zawieszeniu i siedzę jako Archimedes i wołam: Berlin — Berlin!

Aj przykra rzecz, ale cóż począć — pomimo tych wszystkich smutków i pomimo natężonego studjum dzieł Szopenhauera, na humorze i energji nie tracę — muszę znaleźć coś — nie prawda? Ale Pan prawdopodobnie się już znudził tą moją osobistą Jeremiadą — wybacz mi Pan — jam teraz tak sobą zajęty, toć to i nie dziw.

A teraz pozwolę sobie Pana o rychły odpis i o radę poprosić, bo w domu tylko tydzień pozostaję i zasyłając Panu szczere pozdrowienie pozostaję

Stanisław Przybyszewski.

adres: St. P. Łojewo, p. Inowrocławiem.

Boy $18 \times 11^{1}/_{4}$, 1—8 str.

Łojewo, 23 marca 89.

Drogi Panie!

Nie wiem doprawdy, jak Panu podziękować za Jego kochany list, a tem więcej żem w tej chwili drogę jakąś mi Pan wskazał za najlepszą uznał. Zamyślałem słuchać medycyny, chcąc się teologji pozbyć, ale sam czułem, że to nie dla mnie studjum — o architekturze nigdy nie pomyślałem, jest mi teraz tak, jakgdyby mi kto zasłonę z ócz ściągnął.

Czuć mnie Homerem i gimnazjalnemi wiadomostkami, nieprawda?

Wnet się z tego otrząsnę, jestem wrażliwy na wszystko nowe — przytem dość skromny, by móc sobie przyznać, że mało co umiem i mało co znam — powoli gdy będę w Berlinie. A kocham wielkie miasta, nie znoszę tych ciasnych stosunków filisterji małomiejskiej, gdzie wszystko na wysokich sztelcach głupiej zarozumiałości z grandezzą hiszpańskich buldogów chodzi — nie znoszę ogłupiającej atmosfery, dla tego też kiepskie moje zdrowie mnie zabijało. — Zresztą cieszę się, że będę z Panem razem — przypominasz sobie Pan z jaką nabożną czcią słuchałem przed dwoma latmi słów Pańskich, gdzieś mi Pan rachunki integralne pokazywał i z takim entuzjazmem o Rafaelu mówił. — Dziwne, — ale pamiętam nieledwie każde słowo Pańskie — a ja kocham sztukę — kocham ją na swój sposób nie jako płód roznamiętnionej wyobraźni lub ekstatycznego zachwytu, ale jako płód myśli — artystycznej refleksji. — Nie śmiej się Pan ze mnie — Pan co sztukę tak pięknie i prawdziwie pojmujesz, ale już trudno, a w sztuce tylko szukam myśli, idei, świadomej refleksji. Gdzie mi tego braknie, gdzie się nie mogę żadnej tendencyjnej idei dopatrzyć, i ten lub ów płód jako wytwór bezwiednie działającej siły natchnienia uważać, wtedy już nie mogę zdążyć — ani pojąć. (Wiadom. Liter. 543 Boy-Zeleński Kadź z ferm. genj.) Patrz pan, jak się otwarcie panu spowiadam, — może mi Pan roztworzysz tę terra ignota.

Jestem niewymownie z tego zadowolniony, że z Panem będzie mi wolno się często widywać — nie bierz Pan tego za wyraz konwencjonalnej grzeczności, ale za proste otwarte słowa, za naturalną zdawkę z wrażenia, jakieś Pan na mnie wtedy zrobił.

Jutro zrobię podanie do Pomocy Naukowej, przecież mi na architekturę pieniądze dadzą — a zresztą radę sobie znajdę. Tymczasem jestem nieledwie szczęśliw z mego nowego wyboru i jeszcze raz Panu serdecznie za tę znakomitą radę dziękuję. Talent mój nie jest zbyt szerokich rozmiarów, jest to sobie proste przeciętne uzdolnienie, podniecone silnem pragnieniem nauki, ale mam wiele energji może z nią co zrobię. Górskiego

mi bardzo żal — w Gryfji bardzo nieszczęśliwą rolę odgrywa — szkoda chłopaka. —

Tymczasowo do piątku to jest do 29 tego miesiąca pozostaję w domu, potem będę do 12 lub piętnastego kwietnia w Wągrówcu — no a potem, to też pewno będzie niedługo czas do Berlina. Wszak pan będziesz łaskaw mi znowu trochę napisac — ja tak panu będę wdzięcznym. A teraz pozwól się Pan serdecznie uściskać od przyszłego kolegi.

Stanisław Przybyszewski.

Łojewo/Inowrocław.

Boy 18½ X 11½, 1—8 str.

Wągrówiec 3 marca 1889.

Drogi mój Panie!

Za list Pański stokrotnie dziękuję, coraz więcej się przekonuję, że w Panu nieoszacowanego przyjaciela znajdłem. Aleś Pan może do pochlebstw, do nieszczerych wylewów serca przyzwyczajon, możebyś Pan był gotów u mnie to samo suponować — co? — Zostawię moją wdzięczność i szczere zobowiązania na później, tym czasem pozwól się Pan serdecznie uścisnąć za Jego braterską radę — a to właśnie dla mnie pomocą największą.

Do Pomocy naukowej już zaraz po pierwszym Pana liście pisałem — jakoś bardzo cichuteńko. A niestety jestem całkiem od głupiego Towarzystwa zawisły. Na własny koszt ani marzyć nie mogę — ojciec mój dostał emeryturę, więc ani feniga nie może mi dać, nie chcąc sam głodem przymrzeć — a dalibóg nie przesadzam. Zresztą zrobiłem próbę, tonący brzytwy się chwyta — ogłosiłem w Berliner Tageblatt prośbę o pożyczkę — może się to Panu śmiesznem wydać, ale co mam robić, chwili ani jednej do stracenia nie mam, przytem rwę się całą siłą do tego nowego życia, któreś mi tak pięknie Pan opisał. Zresztą co do mnie, to zdaje mi się, że Pan mnie jeszcze tak osądzasz, jakeś mnie przed dwoma laty widział. — O! mylisz się Pan — ja — quantum mutatus ab illo — dziś nie mam głowy zwieszonej, wierszy dziś już nie piszę — i nie marzę z okiem w promienie tęcz wlepionem o niebieskich kochankach — ja dziś wciąż wesół — wciąż mam dobry humor i głowy nie tracę — odkąd jedna z tych moich niebieskich kochanek zamiast za mną czekać, wolała trzymać wróbla w ręku. Jestem jej bardzo za to wdzięczny, bo od tego czasu jakby ręką przewrócił. Ja dziś nie marzę nie cierpię na lajpkowatą ciecz, jak nieboszczyk Rej melancholją nazywa — będziesz Pan miał ze mnia wesołego kolegę. A musiałem jokownie wyglądać z tą moją ponurą twarzą a la Romantyk niemiecki i rozczochranym włosem a la bohater bayronowski. Dziś się śmieję z tego, chociaż lubię takich chłopców, gdy ich gdzie spotkam i lubię patrzeć na to odzwierciedlenie stadjum jakie tyle lat przechodziłem. Nie nie — Pan mnie teraz będzie musiał od nowa poznawać. — Zgodzimy się, nieprawda? Tymczasem atoli nie będę sobie jeszcze nadzieją głowy rozpalał, gdzie w powietrzu już miazmat fiaska wącham — Ale znajdę sobie przecież radę. Długo też Pan w domu pozostaje? Semestr kiedy się rozpoczyna? — Będziesz mi Pan łaskaw donieść — możeby było możliwe jako razem do Berlina wyjechać, bo jabym tam zginął — a w życiu jestem straszliwie niedołężny, to cała smutna spuścizna po moim romantyzmie. To też o nic nie będę się starał, jak właśnie o to, czego mi tak bardzo brakuje, pewności i śmiałego wystąpienia. Raz trzeba przecież silnie w życie schwycić dotychczas zdaleka je obchodziłem, bojałem się go poprostu dotknąć — nie dziw, że mi się ciągle grunt pod nogami usuwał i... ale to pewno Pana nudzi? Nie? Jam Pana już dawno bardzo lubiał — dziś dobroć Pana wzbudziła we mnie takie szczere i wdzięczne uznanie, że się Panu spowiadam jak prawdziwy żak. A właśnie z tego możesz się Pan przekonać, że — pomimo tego, żem się tu w Wągrówcu przyzwyczaił dominować nad wszystkimi — umiem się pięknie ukorzyć, którzy są lepsi i wyżsi odemnie. Obecnie siedzę w Wągrówcu, chodzę od domu do domu, jam tu bardzo lubiany, bawię się jak mogę, czytam, gram, a namiętnie grać lubię — kocham muzykę, tak miło mi nerwy drażni. czem herbata dla mojego żołądka, tem muzyka dla mych nerwów. Bez jednego i drugiego się obyć nie mogę. A ja herbaty ogromną moc potrzebuję — herbata droga, pewno się będzie trzeba od tego odzwyczaić? Pan teraz musisz pięknie grać — pamiętam jeszcze tę piękną fantazją Kawki — wszak się nie mylę? — Pan jąś wtedy grał w Łeknie, gdzie Józef tak się szalenie rozkochał, co mu nie przeszkadzało na jego kochanie w cztery tygodnie później wszystkie koty wieszać. A teraz skończę moje bajanie, — w Wągrówcu będę do 12-go tego miesiąca, gdzie się potem udam, to panu doniosę. — A na moje wszystkie pytania bądź mi Pan łaskaw odpowiedzieć — Pan tak dobry.

Ściskam Pana serdecznie i pozostaję szczerze przywiązanym

Stachu Przybyszewski.

Adres: St. P. Wągrówiec.

STEFAN WOJCIESZAK:

KONTRAKT MAGNATA Z DJABŁEM

Dawno już — bo czterysta lat temu — żył w Gołuchowie koło Pleszewa pan możny: Rafał Leszczyński, słynny magnat wielkopolski. Był on swego czasu może najbogatszym człowiekiem w Wielkopolsce. Prawie każda miejscowość była jego własnością. Dokąd tylko przybył, miał bogato wyposażony pałac z ślicznym parkiem lub ogrodem — i wszelkie wygody. Ale to mu nie wystarczało. Chciał mieć jeszcze największy w świecie zamek. Bogaty Rafał długo się zastanawiał gdzieby to najlepiej wystawić okazałą siedzibę. Rozmyślał, rozmyślał — i w końcu w myślach wyszukał odpowiednie miejsce.

— Zamek stanie w Gołuchowie — postanowił magnat.

Tam jest śliczny zakątek... Wieże zamku będą wyrastały na małem wzniesieniu nad srebrną wstęgą wartkiego strumyka Trzemny. — Ale gdy Leszczyński chciał niezwłocznie rozpocząć budowę, napotkał na wielkie trudności, których przedtem był nie przewidział. Brak było w całej okolicy olbrzymich kamieni na fundament i mury zamku.

I Rafał Leszczyński, człowiek nie w ciemię bity, długo znowu rozmyślał nad tą trudną sprawą, aż wkońcu postanowił prosić o pomoc samego djabła. Pragnął więc, by nad Gołuchowem przeszła silna burza. I doczekał się...

Pewnej nocy, gdy pioruny biły gęsto na tle ognistych błyskawic, Rafał sam siedział w salonie pałacowym, ciekawie wpatrując się w groźną postać burzliwej nocy.

Punktualnie o godzinie dwunastej, a więc o północy, Leszczyński drżącym głosem począł przyzywać do siebie czarnego księcia piekła. Po małej chwili na środku izby magnackiej stanął nagle sam djabeł. Stary to był łotr! Jedną nogę miał ludzką a drugą — ptaka drapieżnego. W jego łbie błyszczały dwa zezowate ślepia. i tkwiły króciótkie, ostro zakończone różki. Na plecach zwisała mu krótka pelerynka, kształtem swym przypominająca skrzydła nietoperza.

Stary wyga piekielny zrobił głęboki ukłon w stronę Leszczyńskiego i zapytał go uprzejmie:

— Czem, Waść, mogę ci służyć?...

— Potrzebuję olbrzymich kamieni na budowę zamku, który ma stanąć w Gołuchowie.

— Chi! chi! — zawołał djabeł — Więc może mam ich dostarczyć?

— Właśnie, o to mi chodzi! — potwierdził Leszczyński.

— Panie-bracie! — zawołał na to djabeł — zróbmy kontrakt!

Podpisz umowę a dostarczę do Gołuchowa tyle kamieni, ile tylko będzie ci potrzeba. A będą to głazy olbrzymie — jak pagórki! Ale za przysługę oddasz mi później swą heretycką duszę, zgoda?

— To zamówienie na dostarczenie kamieni jest tylko zwykłą próbą — odrzekł Leszczyński. — Jeśli mnie zadowolisz — to później dostarczysz mi kamieni i do innych miejscowości — i wtenczas dam ci wszystko, czego tylko zapragniesz. —

— Oho! — zawołał djabeł — Nie godzę się! Już teraz musi być jakieś wynagrodzenie. Małe — ale wynagrodzenie!

— Dobrze! — powiedział Leszczyński — Dam ci zaraz pewną zapłatę: — katolicki kościół w Gołuchowie oddam gminie religijnej Braci Czeskich, których wyznanie — jak wiesz — niedawno przyjąłem. Daję ci słowo szlacheckie. Czy zgoda?

— Zgoda! — wykrzyknął uradowany djabeł, wyprysł oknem w czeluść burzliwej nocy i odtąd przez

pewien czas na oznaczone miejsce zwoził olbrzymie kamienie.

Djabeł nie wywiązał się jednak z próbnej umowy. Gdy bowiem wiózł do Gołuchowa już ostatni głaz — napotkał po drodze jakąś babę idącą z koszykiem w kierunku miasta Pleszewa.

Baba zapytała djabła, dokąd jedzie i poprosiła go, by ją zabrał... Djablisko zgodziło się na tą propozycję. Babsko wgramoliło się więc na kamień — i jazda!... Gdy akurat przejeżdżali przez bór jedlicki i byli już blisko Gołuchowa — baba jakoś przez nieuwagę zbyt silnie przycisnęła wieko koszyka, w którego wnętrzu nagle zapiał głośno zwykły kogut. Djabeł — tchórz wielki — tak się przestraszył tego „kukuryku", że skoczył błyskawicznie w górę i Bóg wie, gdzie się był podział. Olbrzymi zaś kamień, pozbawiony czarodziejskiego przewoźnika, zatrzymał się zaraz i osiadł ciężko w lesie jedleckim, — a baba, trochę przestraszona nagłą ucieczką djabła — zeszła szybko z kamienia na ziemię i piechotką podążyła dalej — na targ do Pleszewa.

Gdy się Leszczyński dowiedział o tym wypadku — rozsierdził się bardzo i długo przeklinał tchórzliwego djabła, który tak haniebnie zerwał zawarty kontrakt.

Kontrakt „wygasł", więc brakło kamieni — i dlatego też jednej wieży zamku nie można było już dokończyć. Wieża ta jeszcze dziś nie jest dokończona. Na niskim belwederze umieszczono tylko stylową studnię włoską...

Rozgniewany Leszczyński pogodził się jednak z losem, — opamiętał się i postanowił raz na zawsze zerwać z tchórzliwymi szatanami. Nawrócił się nawet pod koniec życia i umarł szczęśliwie pojednany z Bogiem.

Porzucony przez djabła olbrzymi głaz 5 m wysokości, 22 m obwodu — do dziś dnia leży w lesie jedleckim i jest największym głazem w Wielkopolsce. A ludzie w Gołuchowie długo jeszcze opowiadać sobie będą o kontrakcie magnata Leszczyńskiego z tchórzliwym djabłem. —

LEONARD TURKOWSKI:

JAKA TO BYŁA ZŁOTA JESIEŃ?

Jeśli wybrnę z kłopotu i zdołam zdać sprawę z rozpoczęcia sezonu kulturalnego w Poznaniu i zarazem z całej minionej ćwierci tego sezonu — winno się na moją cześć urządzić „wieczorynkę" w I. K. Sie. Jak na początek to sukces: już wszedłem w temat. Oto I. K. S. Instytut Krzewienia Sztuki. Chętniebym nazwał to wzorem Jaracza I. Krzywienia Szt. Ale cóż? Ostatecznie lepsze to, niż dosłowny kabaret. Szkoda tylko, że niema tu tego życia, tej mimo wszystko „kulturalnej i miłej atmosfery, jaka była „Pod Kaktusem" za czasów Swinarskiego. Mimo wszystko — mówiąc. Rej tutaj wodzą teraz: Horwath, Hernes, Morkowski i Miklaszewski „Raptus" (psead), Gerżabek, Smuczyński i Kowalik. Oprócz tych występują: Korjanka, Hańcza, Laurentowski, Żbikowska, Dzięgielewski, Kreyczi, Tadeuszówna, Polzinówna, Serwiński i in. Urządzono szereg „wieczorynek humoru" i herbatek, z których warto wymienić np. herbatkę Pań Pracy Charytatywnej, „Bajanie o Bajanie" ku czci skrzydlatych zwycięzców, ;„Tydzień Oszczędności", Transmisja z Los Bluffos", „Momus", „Czerwony Balonik", „...a szczypawki do zabawki...", imieniny Hernesa i jego pożegnanie, wieczory Korjanki i in.

Tyle o I. K. Sie. Właściwie powinienem zacząć od Pałacu Działyńskich, ale o tem napisze ktoś inny. Więc teatry. Tę rozkosz zostawmy sobie na koniec, a tymczasem wszystko inne.

Plastyka. Jak zwykle, odbywają się stale wystawy w Tow. Przyj. Sztuk Pięknych, w Tow. Przyj. Nauk w Muzeum Wielkopolskiem w Pałacu Działyńskich i w wyżej omawianym IKSie. Krytyką urządzonych wystaw nie będę się trudził, bo byłby to trud daremny. Zaznaczyć jednak trzeba, że publiczność poznańska nabiera do sztuki plastycznej coraz więcej przekonania: zaczyna się „znać" na niej i ją coraz bardziej cenić. Dzieje się to za zasługą urządzających wystawy instytucyj, które umieją dosyć trafiać do społeczeństwa i zwabić je, a zarazem nauczyć je rozumienia tej ważnej gałęzi sztuki.

Muzyka. Koncerty symfoniczne mają już swoją renomę. Jednego szkoda, że odbywają się zbyt rzadko bo dwa razy w miesiącu. Na koncercie inauguracyjnym wystąpił słynny pianista francuski Alfred Cortot. Koncert był poświęcony Beethovenowi. Koncert fortepianowy Es-dur wykonał Cortot z doskonałością i czystością myśli interpretacyjnej. Akompanjamentem orkiestralnym dyrygował z wyczuciem .intencyj pianisty dyr. dr. Latoszewski. Orkiestra wykonała uwerturę „Leonora" i „Eroica" Beethovena. Solistą drugiego koncertu był K. Wiłkomirski, który „Koncert wiolonczelowy" Dworzaka wykonał z właściwą sobie wirtuozją. Dyrygował prof. Nowowiejski. Wielce interesująco odegrano utwór dyrygenta „Jeruzalem", Strawińskiego „Scherzo fantastyczne", i przywiezioną przez dyrygenta z Paryża nowość „Dziennik okrętowy" francuskiego kompozytora Jeana Crasa. Trzecim Koncertem dyrygował znów dr. Latoszewski, dając w programie mistrzowsko odtworzone: C. Francka „Symfonją", Czajkowskiego „Serenadę" i Ravela „Valse". P. Umińska wykonała „Koncert skrzypcowy" Brahmsa nie lepiej, niż zwykle. Jak widzimy, poziom koncertów symfonicznych podnosi się stale. Jest to zasługą młodego, a jakimże zdolnego dyr. Latoszewskiego.

To samo można powiedzieć o Operze. Sezon rozpoczęto wielką operą Różyckiego „Eros i Psyche", wykonaną przepysznie w reżyserji Urbanowicza i pod dyr. dr. Latoszewskiego. Cywińska w roli Psyche, Raczkowski w roli Erosa i Karpacki jako Blaks wyczerpali swe kreacje całkowicie. Z innych wyróżnić trzeba Roesler-Stokowską w roli Laidy. Dekoracje Szpingera — jak zwykle. Po tak bogatej inauguracji sezonu wystawiono kilka premjer i wznowiono niektóre dzieła. A więc: Sidney Jonesa „Gejsza", Dworzaka „Czart i Kasia" w reżyserji J. Munclingera z praskiego Narodniho Divadla, Lehara „Piękny jest świat", Offenbacha „Opowieści Hoffmanna", Straussa „Wiedeńska Krew", oraz stare „Tosca", Rigoletto", „Cavalleria Rusticana" i „Pajace". Dnia 11 listopada odegrano uroczyście „Straszny Dwór". Pierwszorzędne dzieła pierwszorzędnie wykonane. Gościnnie występowali: Dolnicki, Gołębiowski. Dyrygowali: Latoszewski, Buchwald i Barański przykładnie. Z artystów wyróżnili się: Cywińska, Peter, Cirin, Kopczyńska, Urbanowicz, Raczkowski, Sendecki, Olgina, Majchrzakówna. Tańce Statkiewicza i Grabowskiej są często naprawdę czarujące.

Teatr Polski niemniej kroczy naprzód w pochodzie kulturalnych placówek Poznania. Utrzymanie teatru w dzisiejszych warunkach nie jest rzeczą łatwą. Potrzeba na to zaparcia i takiej miłości sztuki, jaką mają dyrektorzy Boelke i Piotrowski. Na inaugurację sezonu wystawiono Żeromskiego „Sułkowski z doskonałem wycyzelowaniem wszystkich drobnostek tego dzieła. Potem poszły takie sztuki jak: Komedja muzyczna „Domek z Kart" z Malicką i Sawanem, Bałuckiego „Klub Kawalerów", Nicodemiego „Cień", Schillera „Marja Stuart", Bachmanna „Niepoprawny Bobus", Brandona „Ciotka Karola", Gandery „05 minut zapoźno" i ostatnia nowość scen europejskich „Kobieta która kupiła

męża" z Zofją Małynicz. Wszystkie sztuki wykonane zostały wzorowo. Z aktorów wybili się: dyr. Boelke, Szubert, Zawistowski, Kierczyński, Sachnowska, Biesiadecka, Ludwiżanka, Czarnecka, Chaniecka.

Teatr Nowy zainaugurował sezon hiszpańską sztuką laureata Nobla Jacinta „Krąg interesów", w tłumaczeniu dyr. Trzcińskiego. Premjera ta wykazała, że Teatr Nowy nie jest wcale gorszy od innych teatrów, przeciwnie — gotów im przodować. To samo wnioskować można z wykonania dalszych sztuk, jak: Acharda „Piotruś i Migo", Vulpiusa „Zwyciężyłem Kryzys", w której poraz pierwszy wystąpił na scenie dramatycznej artysta operowy Hugo Zathey, stara „Mysz kościelna" i monumentalne „Dziady". Oprócz tego urządza się specjalne popołudniowe przedstawienia dla dzieci. Z czołowych aktorów wymienić należy Zaklicką, Modzelewskiego, Żbikowską, Glińskiego, Laurentowskiego, Kadena, Pelińskiego, Sawicką. Do plusów należy pozyskanie zdolnego malarza Henryka Smuczyńskiego jako dekoratora, który w twórczości scenicznej wykazuje dużo pomysłowości.

Toby był najważniejszy punkt naszej sprawozdawczej siurpryzy — teatry. Z różnych drobiazgów trzebaby jeszcze wymienić koncerty Poznańskiego Towarzystwa Muzycznego, oraz koncerty: Rubinsteina, Kędziorówny, Ady Sari, Chóru Katedralnego, Chóru Dana i in. Odczyty i wykłady. Działalność kulturalna radja. Wieczory rozmaitych grup literackich w Pałacu Dział. Prasa. Uroczyste Akademje. To wszystko składa się na całokształt życia kulturalnego.

Taka była w skróceniu nasza poznańska jesień. Bogata i chlubna. Złota jesień.

WIKTOR FABIAN:

CZWARTKI LITERACKIE

Dla współczesnego życia kulturalnego Poznania stała się rzecz dużej wagi. W październiku br. zjednoczono wszystkie placówki artystyczne w jedną organizację o wspólnych celach w *Zrzeszeniu Związków Artystycznych i Kulturalnych* z Dr. Kosidowskim na czele.

Na siedzibę Związku wybrano piękny, neoklasyczny pałac Działyńskich, będący niegdyś za T. Działyńskiego, a i później — ogniskiem życia umysłowego Poznania. Tutaj przecież odbywały się wykłady Libelta, Moraczewskiego, J. Koźmiana i ks. Likowskiego, tutaj słuchano świetnego koncertu uczenicy Chopina — ks. Marceliny Czartoryskiej oraz słynnego skrzypka Paganiniego. Wreszcie czwartki literackie zainicjowane niegdyś przez Swięcickiego — dzisiaj wznowione przez Zrzesz. Związków Art. i Kult. skupiają tych wszystkich, komu na sercu leży odrodzenie polskiej sztuki i kultury artystycznej. — Zadanie to doniosłe, bo celem jego wydobycie społeczeństwa z powojennego marazmu.

Dlatego dzień 18 października br. jako data otwarcia Zrzeszenia Związków Art. i Kult. jest dniem ważnym w życiu współczesnego życia kulturalnego Polski.

Otwarcie odbyło się w b. uroczystym nastroju — w obecności Ministra W. R. i O. P. W. Jędrzejewicza, prezesa Akademji Literatury W. Sieroszewskiego oraz przedstawicieli władz. Po przemówieniu prezesa Dr. Kosidowskiego, który w zagajeniu swojem zwrócił uwagę na życie duchowe Poznania w II. połowie XIX wieku a następnie na wysiłki współczesnych przemówił prezydent miasta — poczem Minister W. Jędrzejewicz podkreślił, jak wielki nacisk rząd polski kładzie na ruch kulturalny, powstający z inicjatywy samego miejscowego społeczeństwa. Wreszcie jako ostatni przemówił senior literatów W. Sieroszewski, szeroko omawiając bogatą historję kultury Wielkopolski, podnosząc zasługi najwybitniejszych Wielkopolan, począwszy od Wł. Marcinkowskiego, a skończywszy na B. Chrzanowskim. Po przemówieniach nastąpiła część artystyczno-koncertowa. Wszystkie utwory wykonane w tej części były wyłącznie dziełami autorów i kompozytorów poznańskich, a więc usłyszeliśmy utwory L. Kamieńskiej (Gavotte i Menuet), Nowowiejskiej (Ballada), Padlewskiej (Mamreh), Kasserna (2 preludja) w świetnem wykonaniu prof. N. Padlewskiej oraz „Trio" Posadowskiej odegrane przez prof. Szulca, Ciechańską i Rakowską. Z poetów przemówili Jan Sztaudynger: „Na otwarcie Pałacu Działyńskich" (rec. Dyr. R. Boelke), Wojciech Bąk: „Tylko dlatego" (Jadwiga Zaklicka) oraz Jadwiga Popowska: List ze wsi (Zofja Koreyówna) wszystkie te utwory muzyczne i wiersze świadczyły, że Poznań ma już sporą liczbę prawdziwych artystów muzyków i poetów.

We czwartki literackie pałac Działyńskich zapełnia się publicznością, zwabianą już to tematem wykładu, już to osobą prelegenta. Najciekawszym był wykład J. E. Skiwskiego na temat: Kultura a religja, w którym prelegent poruszył ciekawe zagadnienie: stosunku religji do kultury. Problem czy między postawą religijną człowieka wierzącego, a artystą - twórcą istnieje zgodność i wniosek prelegenta, że między człowiekiem wierzącym, a artystą musi istnieć konflikt, wywołały ożywioną dyskusję. Najciekawszy był pogląd prof. Znamierowskiego, który dowodził, że kultura wiąże się z religją, przenika ją i zazębia, że źródła wzruszeń artystycznych często mieszczą się w przeżyciach religijnych.

WIECZÓR AUTORSKI HELSZTYŃSKIEGO W LESZNIE

Na zaproszenie Koła T. N. S. W. zjawił się w naszem mieście Stanisław Helsztyński i w dniu 30. X. wystąpił z recytacją szeregu utworów zarówno wierszowanych, jak i prozaicznych. Na bogaty i ciekawy program złożyły się następujące fragmenty: kilka sonetów z cyklu „Gostyń w pieśni", wyjątek z „Mnicha opactwa lubińskiego", Praecepter Jan Formanowicz, Wschowa, miasto mej młodości, kilka sonetów z cyklu „Gniazdo orła", z Wenecji nad Brdą", z „Na Pałukach" i urywek prozaiczny „Sladem Kasprowicza i Przybyszewskiego".

Niżej podpisany przygotował grunt zasłużonemu regionaliście kilku artykułami w miejscowej prasie i odpowiedniem przemówieniem na wieczorze.

Publiczność, licznie zebrana w auli sem. męskiego, słuchała w grobowej ciszy utworów poety, z których „Gostyń w pieśni" najbardziej wzruszył słuchaczy szczerością wynurzeń poetyckich i prostym, zrozumiałym tematem. Parę sonatów z tego cyklu nawiązało tak serdeczny kontakt audytorjum z poetą, że mimo dwugodzinnej recytacji, nikt się z miejsca nie ruszył, by nie osłabić wrażenia i nie zmącić podniosłego nastroju.

Dwa urywki prozaiczne, Formanowicz i Wschowa, wzniosły w atmosferę wieczoru tyle wesołości, że słuchacze, znający dostatecznie stosunki w Siemowie czy pobliskiej Wschowie, nie mogli oprzeć się zdumieniu, jak w wyobraźni poetyckiej najprostsze zjawiska i zdarzenia

przetapiają się na cenny kruszec literacki.

Helsztyński zrobił swoje. Ukazał obywatelstwu urok i piękno ziemi wielkopolskiej, dzięki czemu regjonalizm tutejszy otrzymał bodźca do dalszej pracy a na liczne tomiki poety zjawił się nagły popyt. Miejscowemu Kołu T. N. S. W. należy się uznanie za to, że umożliwiło obywatelstwu poznanie wybitnego literata związanego tak silnie miejscem urodzenia z Lesznem i jego okolicą.

Juljan Szpunar.

RECENZJE

pod redakcją Alfonsa Szyperskiego

M. Ziemski — T. Piechocki:

Wszerz i wzdłuż ziemi wielkopolskiej

Tom I str. 176 i 18 ilustr. — Poznań 1934.

Książka ta jest zbiorem reportaży, drukowanych w gazecie codziennej (Dzien. Pozn.), pisanych więc na podstawie autopsji, jako wynik wędrówki jej autorów po miastach i miasteczkach wielkopolskich.

Barwną wstęgą, urozmaiconą opisem krajobrazu, przewijają się w wyobraźni czytelników północne ziemie Wielkopolski, więc idą tam powiaty: Gniezno, Chodzież, Czarnków, Międzychód, Wągrówiec, poczem przez Szamotuły i Oborniki prowadzą nas autorowie do Nowego Tomyśla, Kościana, Wolsztyna, Leszna, Gostynia i Śremu. Reszta powiatów wielkopolskich przedstawiona będzie w tomie II wydawn.

Najczęściej autorowie zwracali się do ludzi, kierujących danemi powiatami czy miastami, więc do starostów i burmistrzów, naczelników urzędów i organizacyj społecznych, dużo też wiadomości otrzymali od ks. ks proboszczów. Przemawiają do nas sami pracownicy regjonów i opowiadają krótko o dziejach miasta, czy kościoła, więcej zaś o dokonanej współcześnie pracy. Dowiadujemy się o życiu jasnem i ciemnem prowincji, o wykonanych budowlach, o trudach i wydatkach, poniesionych przez poszczególne ośrodki dla oświaty i kultury, dla opieki społecznej i zwalczania klęski bezrobocia. Słyszymy też jednak o uginających się pod ciężarem podjętych wydatków i zaciągniętych pożyczek budżetach samorządowych, o troskach i bólach władz ludności prowincji. Jednem słowem oglądamy tu życie, tętniące pracą, lub osłabione kryzysem, ale zawsze rzeczywiste, w obrazie jego w pewnym momencie utrwalone.

Książka stanowić ma podręczny informator o historji i tradycji regjonu, bo zawiera szereg wiadomości o założeniu poszczególnych miast i ich późniejszych dziejach. Mówi też o kościołach, o fundacjach, szpitalach, a szereg ilustracyj pomaga w poznaniu zabytkowych budowli, znajdujących się na obszarze Wielkopolski.

Podanie jednak tych wiadomości w formie rozmowy, zapisywanej tylko i podanej przez autorów in extenso, pociąga za sobą pewne strony ujemne i zmniejsza wartość danej informacji i samego dzieła. Są więc niepotrzebne zupełnie powtórzenia (o założeniu Gostynia str. 147, 148, 159), a nawet zdarzają się sprzeczności (o arcyb. gniezn.-pozn. str. 12 i 14, o podziale pow. czarnk. str. 36 i 38). Błędne są daty: przybycia św. Wojciecha do Polski (str. 10), 2-go rozbioru Polski (str. 130) i panowania Kazimierza Odnowiciela (nie w r. 1140, str. 154). Charakteru historycznego niemają określenia: szwedzkie okopy (str 11, nazwą tą lud oznacza okopy przedhistoryczne), oraz generał ziem polskich (str. 55), gdy istniał tutaj tylko generał-starosta (generalny) Wielkopolski. R. Leszczyński nie był też skarbnikiem królewskim (str. 128), lecz podskarbim wielkim koronnym, czyli ministrem skarbu Rzeczypospolitej, dzieło zaś woj. pozn. Garczyńskiego nazywało się nie Autonomja. ., lecz właśnie „Anatomja Rzeczpospolitej Polskiej“ (barokowa przenośnia)! Z współczesnych informacyj błędną jest podana na str. 131, że w obecnej kl. I gimnazjum niema języka obcego w I. półroczu, a łaciny wcale, gdyż jęz. obcy jest w całym roku, a łacina w II. półroczu, druga zaś, że m. Kórnik posiada elektrownię! Kilkanaście błędów jest korektorskich, razi też 6 krotnie zła odmiana przymiotnika (np. „starym targowisku“ str. 80), cytaty zaś (str. 73 i 78) należałoby poprzeć podaniem ich źródła. Ortografja wogóle dość dowolna, w każdym razie nie według zasad Akad. Umiejętności. Dane o kościołach nie wytrzymują krytyki w świetle gruntownych badań ks. Kozierowskiego. Wystarcza przewertować „Schematyzm historyczny ustrojów parafjalnych“ obu archidiecezyj.

St. Pomykaj.

Liczba usterek i wyraźnych błędów książki, i to rzeczowych (objaśnienie nazw geograficznych, do czego autorowie mają wielką skłonność, jest wprost karygodne, wystarczy przeczytać wywód o Obornikach, niby ks. Szymańskiego, ale jeśli tak będziemy rozumować, jak chce zresztą wstęp, to kwestja autorstwa książki winna być inaczej rozwiązana), gramatycznych (czy starosta gnieźnieński mówił o „przyjacielach“ str. 13), ortograficznych daleko nie kończy się na tych, które wymienił p. Pomykaj. Praca jest zbyt duża i zbyt szybko powstała, by mogła posiadać choćby jakiś wyraźny profil publistyczno-popularyzatorski. Za największą jej wadę uważam wtłaczanie, gdzie się dało, niepotrzebnego balastu historycznego, spisywanego często na wiarę z ust różnych ludzi miejscowych, których wiadomości były luźne, przygodne i nieprawdziwe. Szkoda druku wszystko prostować. By nie wyglądało gołosłownie np: „oglądamy piękny park pałacu hr. Mielżyńskich w Wolsztynie“ (str. 90). Poprawnie: Mycielskich. Losami (?) gimnazjum gostyńskiego nie kieruje polonista ks. Tabor (str. 150), lecz dyrektor Kapcia. Dzierżawią szkołę filipini „Międzychód jest jednem z najstarszych miast polskich“, „miastem został“ bowiem „w r. 1578“!! (str. 113). Przechodzi w ręce Niemiaszkowskich (!), winno być Nieszczkowskich. Jezioro powidzkie nie jest czwarte co do wielkości w Wielkopolsce (str 13), lecz drugie. Skorzencińskie, tak pisali Niemcy my: skorzęcińskie, pr. (!) ma być skrótem proboszcza (str. 159) itd. itd. Pseudomitologja polańska już dawno między bajki poszła (por. str. 9) itd. Czyż nie lepiej byłoby ograniczyć się do **aktualnych** danych z dziedziny ekonomicznej, społecznej, politycznej, kulturalnej itd.? Możnaby wtedy książkę polecić bibljotekom stowarzyszeń, oświacie pozaszkolnej a nawet młodzieży szkolnej itp. Przerost indutrializmu i technicznej strony życia Wielkopolski zbyt jaskrawo doszedł do głosu, ponieważ autorowie niekiedy rażąco niejednolicie i niesprawiedliwie potraktowali sprawy kulturalne naszych miast. Z zasady nie zwracali się do tych, cichych najczęściej pracowników, co są głównemi motorami pracy oświatowej, świetlicowej, scenicznej, imprezowej, muzycznej, ba nawet literackiej, naukowej a lubili bić w największe dzwony, choćby ich głos był tylko reklamowo-krzykliwy.

Szkoda, że tak pięknie i nowocześnie wydana książka, owoc wielkiej pilności i skrzętności autorów (co podkreślamy), nie została głębiej przemyślana, skrupulatniej poprawiona i mniej po dziennikarsku potraktowana. Mniemamy, że część druga będzie dokładniejsza i pożyteczniejsza. red.

Dr. Bożena Szelmachowska:

„Podkoziołek“

w obrzędowości zapustnej Polski Zachodniej.

Poznań 1533. Instytut Zachodnio-słowiański. Str. 176, z rycinami.

Podkoziołek to wielkopolski obrząd zapustny z zabawą ludową, stanowiący w myśli przewodniej zabytek czasów przedchrześcijańskich. Właściwą uroczystość poprzedza pochód maszkar (niedźwiedź w grochowinach lub kożuchu, niedźwiednik, cygan, koza, bocian, konik) dziad; muzykanci, przodownik lub t. p., przez wieś i zbieranie darów na zabawę, która zaczyna się wieczorem dookoła „podkoziołka“ czyli kozła, a także dziadka z brodą, figurki chłopca lub innej kukły wystruganej z drzewa, ćwikły, brukwi, marchwi i t. p. Figurki te, czyli koziołki mogą być przeróżne i z różnego materjału. Umieszcza się je na widocznem miejscu, na talerzu zwykle, i dziewczęta rzucają pod koziołek (stary biernik, dziś mówimy pod koziołka) pieniądze, idące na koszta zabawy. Przy rzucaniu pieniędzy śpiewają różne tradycyjne piosenki, tańczą wokoło podkoziołka. Obrzęd podkoziołkowy posiada zresztą mnóstwo lokalnych odmianek, tem bardziej, że w niektórych okolicach jest mocno nadwyrężony zębem czasu albo już tylko przez starych ludzi znany. Młodzi zwłaszcza w miastach, już tylko samą nazwę znają i łączą z nią zabawę z libacją w tłusty wtorek (przed środą popielcową).

Obrzęd więc zasłużył na opracowanie monograficzne. Autorka, której pozycja naukowa w etnografji polskiej jest oddawna ustalona, podzieliła swą pracę na dwie części. W części pierwszej — Materjały — zestawia warjanty obrzędowe w różnych miejscowościach wojew. poznańskiego, poczem mówi o maszkarach, o wywożeniu żeńcowej (zwyczaj wiążący się z podkoziołkiem), o podkoziołku w innych regjonach Polski, dalej o zapustach na Pomorzu, na Górnym Śląsku i w regjonach dalszych. Część druga — Analiza — przynosi rozdziały następujące: Kozioł i upostaciowanie analogiczne Koń, Niedźwiedź, Motywy weselne, Znaczenie macierzyństwa, Różne praktyki wegetacyjne i Próba wyjaśnienia genezy obrzędu „podkoziołka“.

Dr. Stelmachowska posłużyła się w zbieraniu materjału metodą ankiety, której pytania załącza, rozpisaną w Poznańskiem, na Pomorzu i na Śląsku zapomocą kuratorjów do nauczycieli szkół powszechnych. Metoda ta dała wynik zupełnie dobry.

Cóż mógł w genezie swej oznaczać ten dziwny obrzęd podkoziołkowy? Oto słowa autorki: Podprowadzanie dziewcząt przed „podkoziołka“ i śpiew o tem, że „trzeba dać“ — to wezwanie do spełnienia prawa życia, a wykupny pieniądz, rzucony na talerz, to ofiara ekspiacyjna“. Zdaje się nam, że to raczej przypomnienie (nie wezwanie!) lub magiczne życzenie panien, płodnościowo — wegatacyjne czyli macierzyństwa, dziewic, co nie znalazły w tym roku (karnawale, zapustach) męża koziołka. Symbolicznie

go więc proszą przez okup („trzeba dać“) by był dla nich łaskawszy. Pannę co się okupiła, biorą chłopacy do tańca, czyli symbol — zadatek nadziei małżeństwa. Z dalszemi wywodami autorki się godzimy: „Triumfalne wiezienie młodożeńcowej, to objaw radości z tego, że prawu życia stało się zadość...

— Maszkary, występujące ze śmiechem, tańcem, śpiewem, wróżbami... to zwycięski ingres wiosny, a kosze z prowiantami to ofiary na rzecz przyszłych plonów.

Nie potrzebujemy dodawać, że wielce interesująca, popularnie napisana praca zasługuje na szerokie rozpowszechnienie i znajdzie licznych wielbicieli. Szata zewnętrzna książki bardzo staranna i estetyczna. Wierzymy, że pracowita etnografka obdarzy nas jeszcze niejednem dziełem z regjonu nam bliskiego. —

A. S.

Nasuwa się jedna uwaga Ci, mólniani zresztą, prozaicy, którzy wplatali do swych pism motywy etnograficzne wielkopolskie, mogą się z podobnych publikacyj nauczyć, jak papierową jest ich robota. Dla pisarzy Wielkopolska przedstawia stanowczo za długo „ziemię nieznaną“. s.

Witold Taszycki:

Z dawnych podziałów dialektycznych języka polskiego

Cz. I. Przejście ra w re. Lwów 1934. Str. 92 z 2 mapami.

Niektóre imiona własne (ludzi i geograficzne) oraz pospolite zaczynające się na ra np. *Radlin, radło, rana, rataj* brzmiały dawniej często: *Redlino, redło. rena, retaj* itd. Do dziś w gwarach widzimy ślady tego zjawiska, np. w Wielkopolsce mówią tu i ówdzie *redło, redlić* = *radło, radlić*, — które kiedyś obejmowało dużą część północnej Polski, mniejwięcej od linji Wrocław, Radom, Lublin. Swiadczą o tem przedewszystkiem nazwy miejscowe, z których niejedna do dziś stare brzmienie wykazuje. Otóż autor, jeden z nielicznych naszych językoznawców, którzy umieją pisać popularnie o rzeczach ściśle naukowych, zebrał obfity materjał historyczny (z nazw i nazwisk) i współczesny gwarowy, który mu pozwolił na wykreślenie mapy zasięgu tego zjawiska w przeszłości. Druga mapa ilustruje rozpowszechnienie formy *redło* w dzisiejszych narzeczach języka polskiego. Widzimy z niej, że, o ile o Wielkopolskę chodzi, mówią tak w okolicach Gostynia oraz na północ i wschód od Noteci.

Praca Taszyckiego przemawia „na oko“ na niekorzyść hipotezy o Wielkopolskiem pochodzeniu naszego dialektu kulturalnego, jednak jej nie podważa, bo nie udało się ustalić pnia macierzystego tej tendencji językowej. Czy ona z północy czy z centrum (Mazowsza?) się rozeszła?

A. S.

W sprawie artykułu „Z psychologji języka”

Nie spodziewałem się wcale, aby mój artykulik, oparty całkowicie *na podsłuchanem zdarzeniu*, mógł wywołać oburzenie pewnej grupy Czytelników „Wici Wielkopolskich“. Zarówno Redakcja, jak i autor uiszczonego artykułu są tak dalecy od separatystycznej działalności, że samo posądzenie o coś podobnego trąci przykrem i nieuzasadnionem nieporozumieniem. *Zresztą proces zacierania śladów dzielnicowości w sensie zaborczym należy u inteligencji do bespowrotnej i dlatego możemy to zagadnienie traktować raczej z humorystycznego punktu widzenia.* Pozwoliłem sobie napisać ten artykuł z tego powodu, że on nas *bawi i uczy*, ale *gniewać nie może*. Widocznie Redakcja podzieliła mój sposób rozumowania, skoro uznała za stosowne wydrukować tę charakterystyczną drobnostkę. Jako Małopolanin wyrażam Jej za to serdeczną wdzięczność.

Juljan Szpunar.

KSIĄŻKI NADESŁANE

20. *Augustyn Steffen:* Zbiór polskich pieśni ludowych z Warmji. T. II. 1934. Nakładem Marcina Fiutaka. Leszno. Druk. Uniw. Pozn. Str. 134.
21. *Ks. Stanisław Kozierowski:* Schematyzm historyczny ustrojów parafjalnych dzisiejszej archidiecezji gnieźnieńskiej. Poznań. Druk. Dzien. Pozn. Str. 256. R. 1934.
22. *Ks. Stanisław Kozierowski:* Schematyzm historyczny ustrojów parafjalnych dzisiejszej archidiecezji poznańskiej. Poznań 1935. Str. 484.
23. *Tymon Terlecki:* Listy tureckie Ryszarda Berwińskiego do Władysława Bentkowskiego i Karola Libelta. Odb. z Kroniki Miasta Poznania roczn. 1932 i 1933, str. 32.
24. *Henryk Ułaszyn:* Z walk z kłamstwem. Poznań 1934. Str. 85.
25. *Henryk Ułaszyn:* Jan Baudouin de Courtenay. Charakterystyka ogólna uczonego i człowieka. Poznań 1934. Str. 43.
26. *Stefan Wojcieszak:* Tursko, wiejska Częstochowa Wielkopolski. Krotoszyn 1934. Str. 52,
27. *Ks. Leonard Kurpisz:* Kronika kościołów chodzieskich. Chodzież 1933. Nakł. autora. Str. 310.
28. *Stanisław Pomykaj:* Wielkopolska wobec odsieczy wiedeńskiej r. 1683. Środa 1933, str. 18.
29. *Alfons Szyperski:* Mowa zapomniana. O archaizmach w Wielkopolsce. Środa 1934. Str. 22.
30. *Dr. Adam Tomaszewski:* Mowa ludu wielkopolskiego. Charakterystyka ogólna. Z dwoma mapami. Poznań 1934. Str. 35.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł
Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.

Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu“, we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.

Redakcja: Poznań, ul. Działyńskich 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński, ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.

Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.